

ARTUR BARTKIEWICZ

Kazimierz Dejmek mawiał, że „aktor jest od grania” i do tego sprowadza się jego rola. W XXI wieku to już nieaktualne.
Ich sceną coraz częściej staje się również polityka.

ARTYŚCI NA FRONCIE WALKI POLITYCZNEJ



– Jestem za stary, by być sędzią, ale dość młody, by śpiewać – te słowa Micka Jaggera wywołały dyskusję o tym, którą ze stron sporu o tzw. reformę polskiego sądownictwa artysta wspiera. A może w ogóle się od niej dystansuje?

Tuż przed lipcowym koncertem The Rolling Stones w Warszawie apel do Micka Jaggera i pozostałych członków legendarnej grupy wystosował były prezydent Lech Wałęsa. I nie był to wcale apel o to, by artyści oczarowali Polaków swoimi wokalnymi umiejętnościami.

Wałęsa – dość lapidarnie – poinformował The Rolling Stones o tym, że w Polsce toczy się obecnie ostra walka polityczna skupiona wokół sądów, których – jak pisał – „niezależność niszczy obecna władza”. „Wiele osób w Polsce broni wolności, ale potrzebuje wsparcia. Jeśli możecie powiedzieć lub zrobić cokolwiek, będąc w Polsce, będzie to dla nich naprawdę dużo znaczyć” – podkreślił Wałęsa.

Effekt? 8 lipca Mick Jagger ze sceny oświadczył, że „jest za stary, by być sędzią, ale jest dość młody, by śpiewać”. I okazało się, że – jak pisał Wałęsa – rzeczywiście słowa Jaggera znaczą naprawdę dużo. W Polsce z entuzjazmem podeszli do nich politycy opozycji. „Szkoda, że nie słucha Stonesów. Jak Mick Jagger nie jest za stary, żeby śpiewać, a prezes, żeby politykować, to może nasi najlepsi sędziowie nie są za starzy, żeby orzekać” – pisał po koncercie Rafał Trzaskowski z PO. Z kolei Jakub Stefaniak z PSL ocenił, że Jagger „doskonale wie, co tu się dzieje”. „Myślę, że te słowa nieprzypadkowo padły” – podkreślał. A Borys Budka uznał za sukces, bo na podobny apel ze strony Jarosława Kaczyńskiego zapewne Mick Jagger, ani inna „gwiazda światowego formatu”, by nie odpowiedziała. W ten sposób do tablicy wywołani zostali też politycy obozu rządzącego – np. Krystyna Pawłowicz tłumaczyła, iż Jagger musiał źle zrozumieć Wałęsę, bo ten nie oferował mu posady sędziego w Sądzie Najwyższym.

Słowa Jaggera odbiły się szerokim echem również za granicą. „Mick Jagger dołączył do chóru krytyków, którzy twierdzą, że zmiany w sądownictwie są sprzeczne z demokratycznymi standardami” – pisała Agencja Reutera. „Legendarny frontman The Rolling Stones poruszył na koncercie w Warszawie kontrowersyjne reformy sądownictwa po apelu antykomunistycznej ikony wolności Lecha Wałęsy o wsparcie „obrony wolności” – relacjonowało AFP. „To wyraźna aluzja do reformy sądownictwa promowanej przez konserwatywno-narodową partię rządzącą PiS” – ocenił niemiecki „Die Welt”.

A przecież całą tą – wykraczającą jak widać daleko poza granicę Polski – dyskusję wywołało jedno zdanie gwiazdy rocka, które na dodatek było nieco enigmatyczne. Inne być zresztą nie mogło – trudno spodziewać się, żeby Jagger przed koncertem poświęcił długie godziny na wniknięcie w istotę sporu o zmiany w sądownictwie przeprowadzane przez PiS. Stąd też np. sympatycy PiS wzięli słowa gwiazdy The Rolling Stones za dobrą monetę. W internecie można było przeczytać komentarze sugerujące, że Jagger w ten sposób odciął się od sporu politycznego w Polsce, podkreślając, że on zajmuje się tylko śpiewaniem, czy wręcz, że – jak czytamy w jednym z wpisów – „poparł reformę sądownictwa, mówiąc, że jest za stary, aby być sędzią”.

Idąc dalej, można nawet podejrzewać, że Jagger zwrócił uwagę na coś, co nie istnieje w amerykańskim systemie politycznym – na wysyłanie sędziów SN na emeryturę. W USA funkcję tę piastuje się dożywotnio, ale też rola Sądu Najwyższego w tamtym systemie prawnym, opartym na precedensach, jest inna niż w Polsce. Nie była to więc szczególnie pogłębiona analiza sytuacji w Polsce – bo taką być nie mogła. A jednak wywołała rezonans nie mniejszy, niż alarmujące raporty Komisji Weneckiej czy Komisji Europejskiej odnośnie sytuacji sądownictwa w Polsce. A Wałęsa już zapowiedział pójście za ciosem i napisanie listu do byłego wokalisty Pink Floyd.

Aktywni i uświadomieni

Jagger nie jest zresztą jedyną gwiazdą światowej muzyki, która w ostatnim czasie zabrała głos w sprawie sytuacji w Polsce. Rok temu, przy pierwszej próbie przeprowadzenia przez PiS reformy sądownictwa, podczas koncertu w Amsterdamie Bono, lider U2, krzychał do fanów, że „naszym braciom i siostram (w Polsce) odbiera się wolność”. Z kolei 3 lipca tego roku, podczas koncertu Pearl Jam w Krakowie, muzycy tej grupy zaprezentowali logo Strajku Kobiet. A dwa dni wcześniej, w czasie koncertu w Pradze, wokalista Pearl Jam pokazał fanom plakat z wezwaniem do udziału w proteście przeciw planom zaostrenia prawa aborcyjnego w Polsce.

Polityczny akcent pojawił się też na tegorocznym Open'er Festival – grupa Massive Attack w czasie swoje-



„Poczułam się jak (...) żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji. Dziecko, które jest wystraszone i wie, że nie powinno w tym tramwaju być” – mówiła aktorka w wywiadzie dla „Newsweeka”, opisując reakcję pasażera tramwaju na noszony przez nią znaczek KOD-u

ALEKSANDRA SZMIDEL-WISNIEWSKA / REPORTER

go występu na telebimach zaprezentowała tytuły z polskich gazet i serwisów internetowych, takie jak: „Unio Europejska, ratuj polskie sądy” czy „Kaczyński abdykuje za rok”, kończąc występ hasłem: „Jesteśmy w tym razem”.

Z kolei w 2016 roku, gdy w Polsce trwała debata na temat zaostrzenia prawa antyaborcyjnego, głos w sprawie zabrała znana aktorka Juliette Binoche, która – mówiąc o próbach ograniczenia prawa kobiet do aborcji w Polsce – stwierdziła, że „to, co dzieje się teraz w Polsce, nie ma nic wspólnego z demokracją, to dyktatura”.

Po wystąpieniach Jaggera i Pearl Jam Żaneta Gotowska na łamach portalu Wyborcza.pl entuzjastycznie oceniła, że „The Rolling Stones i Pearl Jam zrobili w tydzień dla polskiej wolności więcej niż polscy muzycy razem wzięci”, dodając, iż „wypowiedzi muzyków zrobiły potrzebny szum i pokazały, że ludzie kultury mają w ręku potężną broń. Muszą tylko chcieć z niej skorzystać”. To już nie była tylko aprobatą, ale wręcz otwarty apel do tego, by artyści włączali się w politykę, bo tego się od nich oczekuje.

Kiedy zaś Kazik Staszewski przed kilkoma miesiącami powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”, że „nie czyta gazet i nie ogląda telewizji”, ale jednocześnie „nie widzi, by pozycja Polski, by sytuacja tutaj była dużo gorsza niż za poprzedniej władzy”, został pouczony na antenie TOK FM przez Jacka Żakowskiego, że jego słowa to „ćwierćinteligentkie paplanie, którego skutki, jak się umocnią w polityce, mogą być straszne”. Artysta ma być więc nie tylko aktywny, ale i odpowiednio politycznie uświadomiony.

Władcy dusz

Warto odnotować, iż związek ludzi szeroko rozumianej kultury z polityką nie jest niczym nowym. Instytucja mecenatu, czyli obejmowania artystów „finansową opieką” przez możnych i wpływowych, którzy dzięki temu mogli liczyć np. na uwiecznienie w dziełach owych objętych opieką, wywodzi się jeszcze z czasów Imperium Rzymskiego. W czasach nam bliższych – w okresie Oświecenia – władcy rządzących absolutystycznie państw ocieplali swój wizerunek i wzmacniali legitymację władzy, utrzymując dobre relacje z ludźmi ze świata szeroko rozumianej kultury – robił to choćby król Prus Fryderyk Wielki, który nie tylko przez prawie trzy lata gościł francuskiego filozofa i pisarza Woltera na swoim dworze, ale uważał go za jednego z nielicznych przyjaciół. Tenże Wolter był też doradcą carycy Katarzyny Wielkiej, którą nazywał Semiramidą Północy. Z kolei nasz Stanisław August Poniatowski organizował słynne obiady czwartkowe.

Gdy w literaturze nastał romantyzm, sprawy poszły nawet krok dalej – poetów i pisarzy zaczęto wręcz traktować jako alternatywę dla przywódców politycznych, widząc w nich potencjalnych twórców nowego, lepszego świata. Konrad-Gustaw z trzeciej części „Dziadów” Adama Mickiewicza w „Wielkiej Improwizacji” mówi wprost, kierując te słowa do Boga: „Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie; Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie; Co ja zechcę, niech wnet zgadną, Spełnia, tym się uszczęśliwił, A jeżeli się sprzeciwił, Niechaj cierpią i przepadną”. Sam Mickiewicz aktywnie angażował się zresztą w działalność polityczną, był też piewcą mistyczno-politycznych koncepcji, takich jak np. mesjanizm narodu

polskiego, której echa są zresztą słyszalne w polskiej debacie publicznej do dziś.

Dziś oczywiście nikt nie postuluje, by ludzie ze świata współczesnej kultury stawali na czele narodów. Choć np. piłkarz Liverpoolu Mohamed Salah w ostatnich wyborach prezydenckich w Egipcie zdobył aż 5 proc. głosów, co dało mu drugie miejsce, mimo że formalnie w wyborach nie startował – po prostu wyborcy dopisywali jego nazwisko na karcie wyborczej. Prezydentem Liberii jest od stycznia tego roku inny sportowiec George Weah, jedyny zdobywca statuetki Piłkarza Roku FIFA pochodzący z Afryki. Z kolei w 1990 roku bliski prezydentury Peru był laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury Mario Vargas Llosa.

To jednak wyjątki od reguły – rolę osób ze świata szeroko rozumianej kultury w polityce postrzega się jednak bardziej jako tych, którzy – na zasadzie tzw. efektu autorytetu – staną się przewodnikami zwłaszcza dla wyborców nienależących do twardego elektoratu żadnej z sił biorących udział w politycznej walce. Innymi słowy chodzi o to, by „popchnąć” osobę niezdecydowaną w stronę, którą taki autorytet uznaje za słuszną. Przy czym nie musi to być – jak w reżimach autorytarnych – strona reprezentowana przez rządzących (w taki sposób artystów wykorzystywano m.in. w komunizmie – wizerunek ZSRR ociepiał np. znany pisarz Maksym Gorki). W demokracji artysta jest po prostu obywatelem – i jako taki dokonuje własnych politycznych wyborów. Stąd np. w Polsce czy w USA w ostatnich latach artyści zajmują się przede wszystkim pomaganiem liberalnej opozycji.

Ładnie mówią, więc słuchamy

Dlaczego jednak, wbrew maksymie Dejmka, uznajemy dziś, że aktor nie jest tylko od grania, piosenkarz od śpiewania, a pisarz od pisania? Cóż, to w dużej mierze efekt rewolucji informacyjnej i zdominowania rzeczywistości medialnej przez media elektroniczne, co z jednej strony doprowadziło do niesamowitej ekspansji kultury masowej, wykreowało zjawisko tzw. celebrytów (osób, które w pierwszej kolejności są znane, dopiero w drugiej zadajemy sobie pytanie – z jakiego właściwie powodu?), a z drugiej – postawiło przed uczestnikami debaty publicznej określone wymagania.

Media o zdanie pytają tego, kto się dobrze, składnie i ciekawie wypowiada, a nie tego, kto może i zdobył Nagrodę Nobla, ale jest człowiekiem, który duka coś pod nosem. Żyjemy w czasach kultury prezentacji. Któż zada sobie trud, żeby posłuchać do końca np. dukającego matematyka, jeśli ma obok, może niedouczonego człowieka, który jednak znakomicie przy pomocy metafor, przykładów, objaśni nam zagadnienie – tłumaczy medioznawca prof. Wiesław Godzic. – W dobie elektronicznych mediów społecznościowych chętnie słuchamy tego, co mają do powiedzenia osoby, które są rozpoznawalne – przynajmniej medioznawca i socjolog prof. Marek Sokołowski. – Gwiazdy show-biznesu chętnie obsadzone są w roli tego typu komentatorów, chociaż kompletnie mogą nie mieć wyczucia świata polityki – dodaje.

W efekcie dochodzi – z jednej strony – do gwałtownego obniżenia rangi eksperta (bo w roli ekspertów obsadzone są osoby, które tymi ekspertami de facto nie są, co jest uznawane za dowód, że dziś ekspertem może być każdy), z drugiej – w ramach sprzężenia zwrotnego – im

mniej w efekcie odbiorca ufa ekspertom w ogóle, tym chętniej o komentowanie są proszeni nieeksperti, którzy przyciągną odbiorcę nie tyle opinią, co swoim głośnym nazwiskiem. Nie oznacza to oczywiście, że człowiek świata kultury nie może mieć z definicji niczego wartościowego do powiedzenia – problem polega na tym, że nie to jest głównym argumentem za tym, by spytać go o zdanie.

Politolog dr Bartosz Rydliński z UKSW zwraca jednocześnie uwagę, że sam fakt zabierania głosu w sprawach publicznych przez osoby ze świata kultury to pokłosie demokratycznego systemu rządów. – Aktorzy, muzycy, osoby świata kultury oczywiście, że zabierają głos w sprawach publicznych, bo mają do tego prawo jako obywatele – podkreśla. Przez to jednak, że są znani, otrzymują tubę w postaci mediów, która sprawia, że usłyszeć ma okazję ich cały kraj.

Emocje zamiast skuteczności

Przykład Jaggera pokazał, że głos znanego artysty w sprawie politycznej potrafi być donośny. Ale czy jest skuteczny? Tu można mieć pewne wątpliwości.

W czasie kampanii prezydenckiej z 2016 roku w USA niemal całe Hollywood poparło Hillary Clinton. Robert De Niro, gdy został poproszony o nagranie filmu, na którym zachęcałby Amerykanów do wzięcia udziału w wyborach, zamiast mówić o demokratycznym obowiązku, nie przebiegając w słowach dał upust emocjom, jakie budzi w nim Donald Trump. – On jest głupi. To śmieć. Pies. Świnia. Oszust – wyliczał aktor. De Niro zarzucił następnie Trumpowi, że „nie wie o czym mówi”, nazwał go „idiotą” i „narodowym kataklizmem”, a wystąpienie skończył stwierdzeniem, że chętnie dałby Trumpowi po twarzy.

De Niro nie był odosobniony w swojej niechęci do Trumpa. Kandydatkę Demokratów wspierali m.in. Beyoncé, Jay-Z, Jennifer Lopez czy George Clooney, a jej rywala krytykował m.in. Matt Damon. Trump mógł liczyć na głosy znacznie mniejszej liczby celebrytów (popierali go m.in. Clint Eastwood i Chuck Norris). Niewiele to dało, bo Hillary Clinton nie została prezydentem USA.

Z kolei w Polsce, po zwycięstwie PiS-u w wyborach i po kolejnych kontrowersyjnych posunięciach partii rządzącej, grono ludzi świata kultury wypowiadających się publicznie przeciw konserwatywnej partii Jarosława Kaczyńskiego zaczęło bardzo szybko rosnąć. Maciej Stuhr, Maja Ostaszewska, Magdalena Cielecka, Jacek Poniedziałek, Agnieszka Holland, Katarzyna Grochola, Daniel Olbrychski, Jan Peszek, Krystyna Janda – ta lista jest bardzo długa. Efekt? Poparcie dla PiS-u utrzymuje się na poziomie 35–40 proc., a jego okresowe spadki to efekty błędów partii rządzącej, a nie słów Stuhra, Holland czy Bono.

Zamiast skuteczności wypowiadający się na tematy polityczne artyści często oferują nam podlanie debaty publicznej gęstym sosem emocji. Wspomniany De Niro, po tym jak zadeklarował gotowość do bicia Trumpa po twarzy, na niedawnej gali rozdania nagród Tony Awards 2018 zaapelował, aby „pie...ć Trumpa”. Z kolei Johnny Depp podczas pokazu jednego ze swoich filmów w Wielkiej Brytanii zastanawiał się wraz z publicznością „kiedy ostatni raz aktor zamordował prezydenta?”. – Chcę być precyzyjny, ja nie jestem aktorem. Żyję z kłamstwa. Jednak od tego czasu (zabójstwa Abrahama Lincolna przez aktora Johna Wilkesa Bootha w 1865 roku) minęło trochę i może już nadszedł czas – stwierdził gwiazdor.

W Polsce głośna była wypowiedź Magdaleny Cieleckiej, która w rozmowie z „Newsweekiem” opowiadała, jak jadąc tramwajem po manifestacji KOD, ze znaczkiem Komitetu przypiętym w widocznym miejscu, spotkała mężczyznę, który „jakimiś dźwiękami, onomatopejami zwierzęcymi, próbował dać jej do zrozumienia, że mu śmierdzi”. – Poczułam się jak – przepraszam za porównanie – żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji. Dziecko, które jest wystraszone i wie, że nie powinno w tym tramwaju być – mówiła aktorka. Z kolei Krystyna Janda, po jednym z przemówień Jarosława Kaczyńskiego na miesięcznicy smoleńskiej stwierdziła, że w Polsce czuje się obecnie „jakby ktoś na nią cały czas s...ł”. Natomiast Agnieszka Holland, mówiąc o triumfach populistów na świecie i opisując swoje uczucia z tym związane, porównała to, co czuła, dowiedziawszy się, że prezydent Donald Trump wygrał wybory w USA do sytuacji, w

której „jakaś bliska osoba ma śmiertelną chorobę i masz nadzieję, że nastąpi cud, że ona jednak przeżyje”.

– Część takich przekazów może działać odwrotnie od zamierzeń. Jest często oderwana od rzeczywistości, a nadgorliwość bywa gorsza niż sabotaż – ocenia socjolog prof. Jarosław Flis, który zwraca uwagę, że „dzieje się tak zwłaszcza w przypadku artystów, którzy mają skłonność do egzaltacji”. Również dr Rydliński przyznaje, że takie radykalne wypowiedzi ludzi kultury „mają swoje negatywne konsekwencje w postaci olbrzymich podziałów społecznych w poszczególnych państwach, które mogą zakończyć się poważnym konfliktem”. – Oczywiście jako obywatele mają pełne prawo do publicznego występowania. Ale tak jak istnieje społeczna odpowiedzialność biznesu, tak jest społeczna odpowiedzialność kultury. I kultura, i ludzie kultury muszą mieć świadomość, że czasami jedno zdanie za dużo może zaszkodzić ich przekazowi – podkreśla.

Taka duża emocjonalność przekazu, w sytuacji gdy dany człowiek kultury jest jednoznacznie identyfikowany z jedną ze stron sporu, ma również dodatkowy efekt w postaci tego, że słowa te za dobrą monetę przyjmą tylko ci, którzy już wcześniej podzielali poglądy danego artysty. Wyborca od lat wierny amerykańskiemu Demokratom z pewnością ze zrozumieniem kiwał głową, gdy słuchał, jak De Niro chciałby okładać Trumpa po twarzy, ba – pewnie cieszył się, że znany aktor jest w jego drużynie. Podobnie przedstawiciel żelaznego elektoratu PO z pewnością nie krył radości, że Magdalena Cielecka odczuwa rzeczywistość podobnie jak on.

Ale wyborców niezdecydowanych takie radykalne komunikaty raczej odstraszą. Jak mówi prof. Flis, takie wypowiedzi „to element wojny podjazdowej i codziennych zmagani, których istotą nie jest meritum, tylko właśnie emocje”. – Wiadomo, że to jest bardziej kwestia mobilizacji twardego elektoratu, która z jednej strony jest niezbędna, a z drugiej ma moc zrażania umiarkowanych wyborców – tłumaczy. A osoby ze świata kultury włączające się do politycznej walki w taki sposób określa mianem „harcowników, którzy mają drażnić przeciwnika”. – Ale harownicy nie wygrywają bitew – zauważa.

Ocieplić wizerunek dyktatorów

Owa skłonność do kierowania się emocjami, a czasem po prostu brak rozeznania w arkuszach polityki prowadzi niektórych artystów do dokonywania bardzo złych wyborów i legitymizowania, z własnej woli, np. reżimów uznawanych za niedemokratyczne.

Koronnym przykładem takiej postawy jest Gerard Depardieu. Znakomity francuski aktor, w wyniku sporu o poziom podatków dla najbogatszych Francuzów uznał byłego już prezydenta Francji François Hollande’a za źródło wszelkiego zła, a męża stanu dostrzegł we Władimirze Putinie. Porównywał nawet prezydenta Rosji do François Mitterranda i Jana Pawła II oraz chwalił za „przywracanie ludziom godności”, zapewniając przy tym, że absolutnie nie robi tego, by przypomnieć światu o własnym istnieniu. W końcu osoba, która nakręciła ok. 200 filmów, nie potrzebuje już żadnej reklamy. W jednej z późniejszych wypowiedzi aktor stwierdził też, że „kocham Rosję i kocham Ukrainę, która jest częścią Rosji”, czym legitymizował wojnę hybrydową prowadzoną przez Moskwę na terenie naszego wschodniego sąsiada, i poniekąd aneksję Krymu. Za takie zasługi Depardieu doczekał się rosyjskiego obywatelstwa, głosował nawet w ostatnich wyborach prezydenckich w Rosji (głos oddał w ambasadzie Federacji Rosyjskiej w Paryżu).

Z kolei udział w ocieplaniu wizerunku Kim Dzong Una w USA miał znany koszykarz Dennis Rodman, który postanowił uprawiać w Korei Północnej „koszykarską dyplomację”. Po wizycie u Kima Rodman opowiadał Amerykanom, że zaprzyjaźnił się z dyktatorem, którego opisał jako „osobę zawsze spokojną, uśmiechającą się, złasz-

cza gdy jest w otoczeniu rodziny”. – Dla mnie wygląda jak zwyczajny człowiek – mówił. Wspominał też, że wraz z Kimem „śpiewał karaoke, śmiał się, jeździł na nartach oraz konno”. Innymi słowy dzięki niemu w oczach wielu Amerykanów Kim Dzong Un zyskiwał ludzką twarz.

Swoich ciepłych uczuć do Putina, a także przywódcy Białorusi Aleksandra Łukaszenki nie kryje też gwiazda filmów kina akcji klasy „B” Steven Seagal, który m.in. podczas wizyty w kołchozie na Białorusi dał się nakarmić Łukaszence marchewką wykopaną wcześniej z ziemi przez prezydenta, a Putina nazywał „jednym z największych żyjących politycznych przywódców świata, o ile nie największym”.

Natomiast jeden z najlepszych w historii piłkarzy świata Diego Maradona dał się poznać jako miłośnik komunistycznych dyktatorów – Fidela Castro nazywał „drugim ojcem”. Deklarował też chęć walki w obronie reżimu panującego w Wenezueli, deklarując, że jest gotów „założyć mundur i walczyć z imperialistami o wolną Wenezuelę” (pisał to w czasie, gdy władze Wenezueli krwawo tłumiły protesty uliczne wymierzone w ekipę prezydenta Nicolasa Maduro).

– Ludzie kultury są zakładnikami geopolitycznej walki nie od dzisiaj. W przeszłości byli niejedenkrotnie mamieni przez systemy totalitarne czy

– Od zawsze byliśmy zwolennikami neutralności, jeśli chodzi o artystów i politykę. Nie łączymy tych dwóch światów i nie chcemy również, żeby przez pryzmat polityki nasi artyści zdobywali rozgłos – podkreśla z kolei Anna Niemczycka-Gottfried z Media&Work, Agencji Komunikacji Medialnej, wyspecjalizowanej w obsłudze artystów i wydarzeń kulturalnych. Jeśli mimo to artyści decydują się na mówienie publiczne o sprawach politycznych, to – jak ocenia Dudek – uznają, że mają „na tyle mocną markę, że sobie poradzą”. – Maciej Stuhr z definicji będzie zapraszany teraz przez wszystkich, którzy nie lubią PiS-u, by poprowadził dla nich galę, albo wziął udział w innym tego typu wydarzeniu – wyjaśnia.

Z kolei Adam Radtke z portalu RynekiSztuka.pl zauważa, że choć „publiczna deklaracja okolopolityczna naraża artystę na ryzyko utracenia odbiorców będących po przeciwnej stronie sporu”, to jednak „jednocześnie wzmacnia się więź z dotychczasowymi odbiorcami o tych samych poglądach”. Być może to tłumaczy, dlaczego Agnieszka Holland, której filmy nie są raczej skierowane do masowego widza, chętniej demonstrowała fanom, iż łączy ich z nią również system wartości, niż Maryla Rodowicz, której słuchają zapewne chętnie zarówno osoby popierające PiS, jak i PO.



Krystyna Janda po jednym z przemówień Jarosława Kaczyńskiego na miesięcznicy smoleńskiej stwierdziła, że w Polsce czuje się obecnie „jakby ktoś na nią cały czas s..ł”. Na zdjęciu z aktorką Mają Ostaszewską

autorytarne, którym ocieplali wizerunek, zanim jeszcze pojawiło się public relations – przyznaje dr Rydliński.

W politykę się nie baw

A czy artystom – z punktu widzenia ich kariery – takie zaangażowanie polityczne się opłaca? Otóż – raczej nie, co świadczy o tym, że w większości przypadków taka działalność wynika raczej z wewnętrznej potrzeby, niż próby budowania własnego wizerunku.

– W momencie gdy artysta opowiada się po jakiejś stronie sceny politycznej, to z automatu część jego fanów może być niezadowolona – zauważa Krystian Dudek z Instytutu Publico, specjalista ds. PR-u. – Gdybym miał doradzać artyście, powiedziałbym: absolutnie w politykę się nie baw, bo to zawsze ludzi dzieli – dodaje. Zwraca też uwagę, że zwłaszcza w sytuacji, gdy artysta kieruje swój przekaz do szerokiego audytorium, nie ma interesu w tym, by części swoich fanów uświadamiać, że są kwestie, w których się z nimi nie zgadza.

Nie zmienia to faktu, że wejście artysty w sprawę polityczną to bardzo ryzykowna gra. Jeśli więc nie jest ona wstępem do kariery politycznej w stylu Pawła Kukiza, w większości przypadków artyści godzą się wręcz na ewentualne straty z poczucia obywatelskiego obowiązku.

– Nie mam żadnych specjalnych zarzutów do artystów wypowiadających się w sprawach politycznych. Uważam, że ich elokwencja polityczna nie jest mniejsza niż wielu polskich polityków – mówi dr Rydliński pytany o zjawisko obecności ludzi kultury w polityce. Zastrzega jednak, że dobrze jest, jeśli artysta „zanim wypowie się na tematy polityczne, potrafił w swojej głowie przemyśleć i ważyć własne słowa”, a nie „mówić w kategorii wydaje mi się, więc powiem”.

Możliwe, że jest to clou całego problemu. Jeśli artysta czuje się zaniepokojony sytuacją polityczną kraju, jako obywatel ma prawo wyrazić swoją opinię. Dobrze jednak, jeżeli pamięta, że we współczesnym świecie jej waga może być wysoka, a skutki – jak zostało pokazane wyżej – czasem odwrotne od zamierzonych.

– Ludzie kultury, podobnie jak politycy, powinni pamiętać, że w demokratycznej debacie słowa mają znaczenie – podkreśla dr Rydliński. ☺

—Artur Bartkiewicz